

Teatr Barakah *Sąsiedzi*

tekst i reżyseria: Andrzej Sadowski

Czyli o tym, jak chciałem zabić Jacka Wojciechowskiego. To znaczy nie jego, ale niejakiego Stefana, postać, którą Wojciechowski gra w przedstawieniu Andrzeja Sadowskiego. A może zresztą i jego też. Bo za dobrze, za prawdziwie był. Sadowski napisał z pozoru prostą, do czasu przyjazną i sympatyczną obyczajową historię z trudnym do zniesienia finałem, która zaczyna się od spełnionego marzenia. Para bezdzielnych trzydziestolatków, Maciek ma etat na uczelni, Ola jest po kulturoznawstwie, więc pracuje w bibliotece, dochodzi pewnego dnia do wniosku, że ma już dosyć życia w mieście, za niewielkie oszczędności kupuje dom na wsi. On będzie dojeżdżał do pracy, ona zatrudni się w miejscowej szkole. Wsi spokojna, wsi wesoła... Tak już się chyba nie da powiedzieć. Wieś to piekło, bo ludzie, sąsiedzi są jakby bliżej niż w blokach. Trzeba się z nimi chłodno dogadywać albo omijać ich z daleka. Przybysze popełniają jednak błąd i próbują się zaprzyjaźnić. I tak w życiu Oli i Maćka (Katarzyna Galica, Wojciech Leonowicz) pojawia się Stefan, pasożyt, naciągacz i pieczeniarski, bezrobotny pijaczek, wychowujący samotnie autystycznego nastoletniego syna: żona umarła, pewnie ją zadręczył. Stefan z *Sąsiadów* wygląda jak podtatusiały hipis, nosi zielone spodnie, tak zwane ogrodniczkę, i flanelową koszulę. Nigdy nie ma pieniędzy. Łatwo wpada w złość, wyżywa się na synu i cholernie podoba mu się Ola. Z początku na scenie czas płynie leniwie, mamy lato, wspólne grille, żarty, dobre uczynki. Sadowski nie buduje ani obu domów, ani wsi. Głos reżysera z offu steruje przestrzenią, opisuje miejsca akcji, zmienia krzesła, leżaki, stoliki i butelki w niewidzialne scenerie i plenery. To wszystko istnieje w głowach aktorów i widzów – i tylko tam. Zapomnijcie o folklorze. Hipsterskie małżeństwo i ich namolnie złowrogi sąsiad łąją na gitarach, śpiewają do mikrofonu protest-songi, które pełnią funkcję monologów wewnętrznych albo są wylewaniem sąsiedzkich żalów i pretensji na stronie. Bo ktoś tu nie gra fair, wykorzystuje naiwność, uprzejmość, skłonność do bezinteresownej pomocy. Stefan włazi w życie Maćka i Oli, szantażuje ich, oplata, uprzykrza najprostsze sytuacje. Jakby było mu więcej wolno. Wymarzony wiejski dom staje się koszmarem, Maciek myśli tylko o odwecie, o przechytrzeniu wieśniaka, Stefan knuje i grozi miastowemu. Zwyczajne sąsiedzkie dialogi i scenki nasączają się podejrzeniami i złością. Sadowskiego interesuje mechanizm narastania obopólnej nienawiści, pilnuje psychologii i pozwala wybuchać emocjom. Tego spektaklu w pewnym momencie nie da się już oglądać na zimno. Bo dobrze wiemy, że każdy z nas miał i ma takiego wroga, z którym nie da się dogadać i nie da się też od niego uciec. Jesteśmy bezsilni wobec ludzkiego cwaniactwa, bezczelności, oczywistego kłamstwa. Zwłaszcza jeśli zło przebrane zostanie w niegroźny kostium. Skryje się za jowialną i niezdarną maską. Będzie nieoczywiste, łatwe do zrozumienia i wybaczenia, uprzykrzające jednak życie w niewiarygodny sposób. Potwór żywi się tobą, potwór cię potrzebuje. Stefan Wojciechowskiego jest kreacją tak konsekwentnie perfidną, wiarygodnie wkurzającą, że budzi się w nas żądza mordu. Dokładnie taka jak w kinowych *Dzikich historiach*. Przez widownię idzie fala furii wymierzonej przeciwko aktorowi, postaci, którą stworzył. Gdyby spektakl trwał godzinę dłużej, wszedłbym na scenę i udusił gada.

Sadowski złapał nas w pułapkę: żadna to komedia obyczajowa, żaden lament o fałszywej Arkadii, ale pełna goryczy opowieść o niemożności wygrania z ludzkim potworem. Ta historia musi

skończyć się tragedią, bo nie ma możliwości, by skończyła się dobrze. W spektaklu następuje w końcu jakiś akt sprawiedliwości, ale nie czujemy się po nim dobrze. Bo to krok w jeszcze większy mrok, pochodzący z innego porządku zła. Przaśne, swojskie zło rodzi zło niewyobrażalne. I to jest to, co zasłonięte.